

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

11

Reszta słów zamiera w niewyraźnym mruczeniu. Trzej sędziowie udają się na naradę do sąsiedniego pokoju. Upływa kilka minut, wracają na salę. Przewodniczący ogłasza wyrok, który skazuje Margę na dwa lata więzienia.

— Niech pani się nie przestrasza, baronowo — zawołał obrońca do swej klientki, która zbladła śmiertelnie — jeszcze nie wszystkich dni wieczory się skończyły! My postaramy się...

Zamilkł, gdyż Marga nie słyszy już jego ciepłych słów pocieszenia. Zemdlała i ciężko opadła na ławę oskarżonych.

Na sali zapanowało ogólne zamieszanie. Na ratunek pospieszyli przewodniczący, obrońca, prokurator i inni. Przewodniczący rozkazał dwu woźnym sądowym przenieść zemdloną do sali posiedzeń przysięgłych. Następnie podszedł do ławek świadków.

Doktor Burger, popychany własną troską i wiedząc zresztą dobrze, że bez jego pomocy się nie obejdzie, powstał właśnie ze swego miejsca. Dwaj inni lekarze, dr. Major i profesor Sturm, zaraz po ukończeniu przesłuchania świadków, poprosili o zwolnienie ich i opuścili salę. Nie było ich więc w decydującym momencie.

— Panie doktorze! proszę bardzo — zwrócił się przewodniczący do Roberta.

Ten pospieszył szybko na wezwanie do sali obrad sędziów przysięgłych. Marga leżała wyciągnięta na kilku stołkach, pod głowę podsunęto jej poduszkę, o którą się pospiesznie wystarano.

— To nic poważnego — oświadczył dr. Burger, zbadawszy puls i skronie leżającej. — Są to następstwa wielkiego wzburzenia i bojaźni serca. Może ma który z panów sole trzeźwiące? Proszę także o szklankę wody.

Obie rzeczy wnet się znalazły. Sole trzeźwiące zrobiły swoje i po chwili muskuły twarzy omdlejącej zaczęły drgać i ramiona poruszyły się. W kilka minut potem otworzyła oczy i spojrzała zdziwiona na swe otoczenie. Wzrok jej padł na doktora.

— Pan tu, doktorze — o, jak to dobrze!

— Czy pani się już dobrze czuje, baronowo?

— Dobrze? A tak, o ile można nią być w mojem położeniu. Dziękuję panom.

Przewodniczący otworzył jedno z okien sali, aby dać dostęp dla świeżego powietrza.

— Niech oskarżona jeszcze z kwadrans tu pozostać, Szule! — rozkazał woźnemu. — Zostań przy niej.

— Nie umknę panom — zauważyła młoda kobieta z bladym uśmiechem.

— Wiem o tem, ale muszę spełnić mój obowiązek — odpowiedział poważnie przewodniczący sądu.

— Czy mogę przedłożyć panu prośbę, panie prezydencie?

— Czego pani sobie życzy?

— Czy mogę kilka minut porozmawiać z dr. Burgerem?

— Ależ owszem, przeciw temu nic nie mam.

Urzednicy odeszli po chwili; dr. Ammarell wahał się, czy także ma iść.

— Muszę koniecznie z panią się rozmówić — mówił, niezdeterminowany. — Ostatecznie... może lepiej, aby pani najpierw trochę wypoczęła. Odwiedzę panią jutro rano, a wtedy omówimy dalszą akcję.

— Bardzo chętnie, panie mecenasie.

Nie zapraszała go, aby pozostał. Jasne więc dlań było, że chce z dr. Burgerem rozmówić się w cztery oczy. Wobec tego obrońca także pożegnał się i odszedł.

Woźny sądowy cofnął się dyskretnie pod drzwi i usiadł odwrócony bokiem do rozmawiających.

Przez kilka chwil zapanowała w pokoiku, oświetlonym jednym tylko płomieniem gazowym, wielka cisza. Przerywały ją tylko dochodzące z daleka głucho pomruki publiczności, która opuszczała, żywo dyskutując, gmach sądowy, oraz tykanie zegara na ścianie.

Marga usiadła powoli, nie patrzyła jednak na swego przyjaciela. Robert stał o dwa kroki od niej, spoglądając niespokojnie to na ziemię, to na sufit, wreszcie na zegar lub przez okno. Jej jednej nie mógł prosto w oczy spojrzeć!

— Panie doktorze — zaczęła nagle cicho, z wielką prośbą w głosie.

— Pani baronowo.

— Czy pan może jeszcze... podać mi rękę?

— Rękę... pani? O łaskawa pani — podstąpił ku niej, ujął jej białą rękę, uściśnął serdecznie i gorąco przytulił do ust.

Uśmiechnęła się słabo.

— Jak to szlachetnie i dobrze z pana strony, pan mną nie pogardza — nie boi się dotknięcia morderczyni?

— Pani poniosła nadludzkie katusze, kochana przyjaciółko — czyn pani był wynikiem rozpacz — pani za niego nie odpowiada. Zawsze pani pozostanie tą samą, godną szcunku każdego szlachetnie myślącego człowieka!

Zerwała się i wyprostowała w całej swej postaci. Spojrzała mu w oczy przerażonym wzrokiem.

— I pan, doktorze — pan...?

— Co się stało, pani baronowo, dlaczego patrzy pani na mnie z takim wyrzutem?

— I pan także wierzy, że winna? Mimo mojego oświadczenia? Pan nie wierzy we mnie, w prawdziwość i szczerość mej duszy?

Zdumiony, cofnął się młody lekarz krok w tył.

— Pani, pani naprawdę jest niewinna, Margo?

— Czyż inaczej tak bym utrzymywała? Chyba pan, doktorze, zna mnie na tyle! Aby kłamać, jestem na to za dumna, uważałabym, że postępuję nieuczciwie, gdybym popełniła jakiś czyn, a nie miała potem odwagi zań odpowiadać. Czyż tego na rozprawie nie powiedziałam? Czy pan słowa moje wziął za puste wybiegi?

Młody człowiek krzyknął radośnie, twarz jego rozbiły silnem wzruszeniem.

— Niewinna? O, jeśli pani mi to mówi, pani baronowo, pani wie, że panią czczę, jak świętą. Pani jest... o mój Boże, tyle szczęścia, tyle szczęścia... naturalnie, że pani niewinna! Jak mogłem choć przez chwilę wierzyć w to, co mi mówiono.

— Los przeciw mnie się obrócił — nawet anioł byłby uwierzył w moją winę — oświadczyła łagodnie. — Nie mogło być inaczej. A przecież ja jestem niewinna, doktorze, serce może się zdecydować, aby wyłączyć siebie z życia, które rozczarowało i dręczy. Ale, aby drugie życie niszczyć! O... przecież to zupełnie co innego! Ja przynajmniej nie miałabym dość siły na coś podobnego.

Znowu podała mu rękę, którą on tym razem zatrzymał w silnym uścisku.

— Co jednak teraz robić? Niewinna, a przecież skazana!?

— Straszny los!

— Pani musi wnieść apelację, musimy niebo i ziemię poruszyć...

Potrząsnęła smutnie głową.

— Jestem ofiarą dziwnych powikłań okoliczności. Coż mam robić? Moim słowom nikt nie wierzy, a dowody... o doktorze! to przecież jest taki wypadek, w którym tylko cud może pomóc. Jakżeż moja niewinność ma się kiedy okazać? To się nigdy nie stanie. Ja, morderczyni dziecka dla świata, odcierpię moją karę, a potem... co potem? Nic mi nie pozostaje, jak odejść daleko w obcy kraj, gdzie nikt mnie nie zna, aby, wiedząc o swej niewinności, rozpocząć nowe życie.

Twarz jego zaszepiła się. Ciemny, ponury cień rozciągnął się po niej i nawet na głos się opuścił, gdyż tenże brzmiał głucho i bezdźwięcznie, kiedy po chwili się odezwał:

— Pani chce odejść, daleko odejść? Czy to tak koniecznie być musi? Czy pani i tu w ojczyźnie nie znajdzie jakiegoś sposobu, aby sobie zapewnić bodaj skromne szczęście?

— Jak może czuć się szczęśliwym ten, kto stracił cześć? — westchnęła cicho.

— Ten wyrok pani czi nie dotyka.

— Mimo to... kto by morderczyni zechciał dać potem jakieś zajęcie? Nikt nie zniósłby mnie w swym domu, lub rodzinie. Nieufność i podejrzenia towarzyszyłyby każdemu memu krokowi.

— A swych przyjaciół tak nisko pani ceni, pani baronowo? — odpowiedział z lekkim wyrzutem.

— O nie!... ja wiem, że pan... pan ufa mi bardzo.

Trzymał jeszcze ciągle rękę jej w swoich dłoniach i przycisnął silnie do piersi.

— Ale cóż pan może dla mnie zrobić?

— Wszystko.

Uczuł nagle w sercu dosyć odwagi, uściśnął jeszcze raz jej rękę i rzekł z naciskiem:

— Na rozprawie słyszeliśmy zeznanie, że po tych wszystkich rozczarowaniach i walkach młodości pani serce przemówiło...

— Panie doktorze! — zawołała, przerywając mu.

— Czy mogę zapytać, za kim? — dopytywał się, nachylając się ku niej.

— Jakież cel ma jeszcze mówienie o tem? — odpowiedziała smutnie.

Oczy jego rozbiły płomieniem.

— Pani słowa zapalają we mnie szczęśliwą nadzieję, Margo! — zawołał półgłosem, wkładając w słowa całą siłę swego uczucia. — Czy ja jestem tym, niech pani powie mi prawdę, Margo?!

— Tu... tu na tem miejscu...

— Musi pani to zrobić, gdyż kto wie, kiedy znowu zdarzy się sposobność taka, jak dzisiaj, abyśmy się porozumieli. Margo, niech pani da mi pewność... nie tylko ze względu na mnie, ale i ze względu na panią. Będzie pani mogła zabrać ze sobą do ciemnej celi pociechę, nadzieję, cel jakiś, który podtrzyma pani odwagę i ustrzeże panią przed rozpaczą.

Młoda kobieta potrząsnęła smutnie głową.

— Tak pan sądzi? A jakież cel ma to być, jaka nadzieja i pociecha?

— Pani przyznaje więc, że dobrze przypuszczam? — dopytywał się coraz natarczywiej.

Błade policzki Margi zaróżowiły się silnie. Ciemne oczy spuściły się zawstydzone.

— Niech mnie pan nie dręczy... to bezlitosne...

— Margo... — szeptał jej drżącym głosem, podczas gdy pierś jego podnosiła się silnie. — Nie myślę się. Tak, czy nie?...

— Tak... ale proszę mnie nie pytać...

Wyczerpana opadła znowu na stołek.

— Dziękuję pani... — zawołał półgłosem wprawdzie, ale pełen mocy radosnej. — Margo, zrobiłaś mnie najszczęśliwszym z ludzi.

Łza zabłysła na jej powiekach.

— Nieszczęśliwy, niemądry człowiecze — szepnęła zdając sobie nagle sprawę z położenia — czego pan właściwie chce? Czem może być dla pana moja miłość? Niech pan nie zapomina, dokąd ja idę i że nigdy, nigdy nie ma nadziei, abym cześć moją odzyskała...

— Nie zapominam o tem ani na chwilę, Margo. O ukochana, co mnie to w tej chwili obchodzi? Tyś mi powiedziała, że jesteś niewinna, więc nią na pewne jesteś.

— Waryacie... Pana miłość pędzi niepowstrzymana, nie myśląc o tem, że droga, na którą wchodzi, pełna jest gwoździ i cierni. Jaką towarzyszką życia mogłabym być dla pana? Byłaby to największa krzywda, jaką mogłabym panu wyrządzić, gdybym się ofiarowała panu za dozoną towarzyszkę życia. Nigdy nie uczuję już spokoju wewnętrznego wobec prześladowającej mnie myśli, że spoczywa na mnie fałszywe podejrzenie. Nigdy nie mogłabym tego zapomnieć, Robercie! nigdy! Zjadłaby mnie troska i niepokój!

— Pracowałabyś ze mną, Margo, w mojem szczytnem powołaniu. Wspomnienie twojego nieszczęśliwego dziecka i twoich trosk stanie się błogosławieństwem dla setek nieszczęśliwych dzieci. Zamiast jednego utraconego dziecka, będziesz miała wiele, bardzo wiele, którym zastąpisz matkę. To wielkie, szczytne powołanie oczyści twą duszę, Margo!

Spojrzała na niego zamyśloną, rozmarzoną, lecz smutną.

— Tak, piękne jest to, co pan mówi, i według mojej myśli — przysiędziła mu po chwili. — Przypuszczam, że dla ciebie i tych biedaków mogłabym mieć jakąś wartość, ale... co powiedzą rodzice twoich wychowanków, że ty ich pieścuchów powierzasz w ręce morderczyni?

Roześmiała się gorzko przy tych słowach i dodała:

— Nie, Robercie — właśnie ze względu na ciebie i na mnie oświadczam ci: Jak długo znowu czysta i bez winy nie stanę przed ludźmi, nie mogę dla ciebie być niczem więcej, tylko wspomnieniem, snem! Nie chcę cię za sobą pociągać w nieszczęście, nie chcę cię odrywać od twoich obowiązków, od wielkiej misji twojego życia! Nie chcę tego, nie chcę, gdyż... gdyż... ja... cię... Kocham!

W gorących słowach starał się odwieść ją od tego postanowienia. Mimo, iż głos jego miłą muzyką brzmiał w jej uszach, uzbroiła się w żelazną wolę i nie ustąpiła.

— Teraz jestem czysta — oświadczyła. — Przyjęcie twojej szlachetnej propozycji zrobiłoby mnie zbrodniarką. A teraz idź, Robercie, nie zapominaj, że jestem skazana, więźniem. Ten poczytywać człowiek tam stoi jak na węglach. Pomyśl o mojem postanowieniu spokojnie, Robercie, a przyznasz, że słusznie i rozumnie postąpiłam. Mam zresztą jeszcze dość czasu... — dodała z melancholijnem spojrzeniem.

Wstała znowu, wyciągając do niego rękę na pożegnanie.

Głos drżał jej, oczy zaszyły łzami, gdy, odwracając się od niego, szepnęła:

— Wierz mi, że twoja miłość już i tak jest wielką pociechą mego życia.

Niepewnym krokiem opuścił Robert pokój.